

ZAPISYWANIE ŚLADÓW (MIROŚLAWA SZOTT, ANNA, ZIELONA GÓRA 2015, TOWARZYSTWO MIŁOŚNIKÓW ZIELONEJ GÓRY „WINNICA”)

Druka książka poety jest zawsze bardzo ważna, gdyż po niej poznajemy, czy idzie swoją drogą dalej, czy potwierdza talent. I tak też jest ze zbiorkiem Mirosławy Szott *Anna*. Debiutancki zbiorek *pomiary Zamku* (2013) to były po prostu wiersze różne, podyktowane zmiennością wielu impulsów, doświadczeń, pomysłów i przedmiotów, z których się brały i dotyczyły, natomiast wzmiankowany wyżej, następny już, ściśle określa determinacja i precyzja zrealizowania twórczego zamysłu, wypełnienia własnym słowem dość dokładnie zarysowanego pola obserwacji, na którym trzeba się ze swoim zadaniem i natchnieniem, i pasją zmieścić, bez ulegania pokusie wychodzenia poza narzucone sobie, przyjęte, podjęte zadanie twórcze. Jeśli potrafi to zrobić ktoś, kto tak naprawdę dopiero w literaturę wkracza, to jest to warte docenienia. Wiemy, że autorka również ma swoje liczne dokonania na polu krytyki literackiej. Może za wcześniej na charakteryzowanie tej zaczynającej się dopiero drogi literackiej, ale zwraca już w tej chwili uwagę doza językowej i myślowej dojrzałości, czyli odpowiedzialności za wypowiedziane słowo. Precyzja i zwięzłość. Tym razem została ona zaprezentowana w innej formie, jakby pobocznej wobec frazy poetyckiej, gdyż mamy do czynienia z czymś w rodzaju małych, krótkich próz poetyckich. I ta forma wydaje się właściwa, trafna, gwarantująca odpoetycznioną retorykę, zmienność punktów widzenia, więc pewnie sama się narzuciła, i w niej pomieścić mogła M. Szott swoją fabułę, determinację, złożoną z wielu przywoływanych, zapamiętanych, prozaicznych zdarzeń, epizodów, w których centrum znalazły się przedmioty, rzeczy, drobiazgi, zapiski na kartkach, nagrania głosu – wszystko to, co zostało po poetce Annie Tokarskiej (zmarłej 28 października 2013). Znikomość, drobność, nic wielkiego z pozoru. A jednak niekoniecznie znikomość. Tudzież urywki jej biografii. Ten literacki dyskurs cechuje otwarta struktura, chce zbliżyć się jak najpełniej do „tematu” Anny, nieustanna w nim gotowość zaprezentowania nowego ujęcia, znalezienia miejsca i powodu do zapisu. Zapisu rewelacji. Książka dzieje się „między jej i mojego słowa zniknięciem”. *Anna* jest czymś w rodzaju aktu ocalenia za wszelką cenę śladu życia autorki *Portretu z ptakiem*, rejestrem relacji między dwoma osobami, wyobrażania sobie jakichś wspólnych sytuacji, jest rzetelnym świadectwem, z jednej strony, podmiotowego szoku po jej odejściu, poniekąd owianym aurą tajemnicy, ponieważ nie mieliśmy szansy jej pożegnać, jest jakąś niezgodą (skrywanym bólem) na nagłe zniknięcie człowieka, a z drugiej, zmierzeniem się z tajemnicą konkretnego życia, które warto w tych pośmiertnych resztkach odgadywać. Od innej strony – od strony wyglądu kartki, śladów zapisu, notatki, rachunku z pralni, grzebień, ołówka, relacji z epizodycznych spotkań. To śmierć, a nie nic innego (tak właśnie często bywa), sprawiła, że prywatne rzeczy codziennego użytku po człowieku (po Tokarskiej)

nabrały szczególnego znaczenia, wręcz wartości symbolicznej, zostały dowartościowane, ocalone przez Szott, wygrzebane ze śmietnika, a mówiąc dokładniej: w ostatniej sekundzie wyrwane z unicestwiającej paszczy otchłani. Nie umarły, nie utraciły znaku przynależności. Tylko one zostały, a w nich zawarła się jakaś cząstka jeszcze niedawno żyjącej osoby. Oddech, spojrzenie, linie papilarne palców – to wszystko można im przypisać. Można to stwierdzić i przy ich pomocy wyobrazić sobie realne życie, które się już dokonało. Po śmierci (poza tym) wszystko widzi się inaczej, to samo już nie jest to samo, natychmiast jakby następuje wyjście poza użyteczność, po śmierci poety jego wiersze też inaczej się czyta, w słowach słyszymy to, czego nie słyszeliśmy wcześniej albo nie umieliśmy słyszeć. I w tym momencie nie jest już istotne, jaka jest ranga odzyskanej rzeczy. Może to być właśnie jakby nic nieznacząca kreska, pusta kartka, pustka zgięta na pół, „próba niebieskiego długopisu”. Ale dostrzeżony w tym wszystkim jest – bywa, że silniej, ponieważ w świetle ostateczności – ich właściciel. Tym ważniejszy jest dla Szott ten wysiłek, pasja ocalania, gdyż przez kilka lat mieszkała w tym samym domu, na tej samej klatce, przy placu Słowiańskim, co Anna Tokarska. Rozmawiała z nią, bywała w jej mieszkaniu, piętro wyżej, pukała do jej drzwi, czekała na autograf, dzielił je pokoleniowy rozdział czasu, ale łączyła prosta ludzka zwyczajność codziennej egzystencji. I teraz czuje się za ten pozostawiony ślad odpowiedzialna. Za pomocą tych licznych próz (dobrze, że nie ma ich za dużo) poetyckich dokonuje Szott oczywiście mitologizacji, czyli szczególnego zabiegu uczłowiczenia. Aurą poetycką je osnuwa, z czułością i wzruszeniem wielorako stara się poniekąd je ogrywać. Metafizycznie, moralnie, psychologicznie. Tworzyć z każdym przedmiotem jakiś swój także refleksyjny związek. Ważne, że nie czyni tego rozwlekle. Skrótowo. Na przykład o różańcu po Annie: „Niech przyszli lokatorzy martwią się, co z nim zrobić”. Taka to piękna rola i sprawcza moc poezji. Nie pozwala tym materialnym śladom zginąć w anonimowości. To jej zasługa. Sprawdzian najważniejszy i potwierdzenie, o którym przekonuje się czytelnik. Za sprawą tych zdań, niekiedy wychodzących poza realistyczną wyrazistość i jasność semantyczną (s. 49), mamy świadomość dramatu, który się dokonał nie w sferze fikcji, detalicznie widzimy, jak bardzo skończony jest ludzki los, jak rozpaczliwie bezpowrotny. Wzruszające jest objęcie autorskim spojrzeniem kota Anny, Balbiny. Można rzec, że heroiczny jest liryzm tej książki. Uwidacznia cechę autorskiej dzielności. I dodam jeszcze, że wbrew temu, co powiedziano, choćby podczas autorskiego spotkania w bibliotece, i sama poetka na początku książki sygnalizuje („Został mi opis śmietnika”), nie jest to opis śmietnika. Tu nie ma brzydoty. Owszem rzeczy Anny z niego są wydobywane, ale nie taka to estetyka, nie taka filozofia. Nie tworzy Mirosława Szott obrazów tego rodzaju, ale legendę Anny Tokarskiej, żywej osoby, legendę ważną także dla życia literackiego w naszym mieście. O czym chyba nikogo nie trzeba przekonywać. To wszystko jest bardzo ciekawe, dobrze o talencie świadczące, ale najciekawsza jest jednak zaprezentowana w tej książce gra mentalna, liryczna pomiędzy tym, co zostało,

a zapamiętanym wizerunkiem poetki. Przecież nie z dokumentem czasu, dokumentem postaci mamy do czynienia, nie ze stricte biografią, to mógłby uczynić ktokolwiek, ale z tym, co znajdujemy (co przemawia) jako wartość literacką usytuowaną w języku odautorskich komentarzy, skojarzeń, refleksjach, uzupełnieniach, przypomnieniach i dopowiedzeniach. Tu się najlepiej młoda zielonogórska poetka prezentuje.

Czesław Sobkowiak
(Zawada)